

Sztuka Brandysa w londyńskim POSK-u

Kazimierz Brandys jest mistrzem odtwarzania naturalnie płynących myśli-rozmów, od tzw. „wewnętrznego dialogu”. Nowela „Sztuka konwersacji” jest tego potwierdzeniem. Nowela, w której jak w lupinie orzecha, zawarty jest „mini-kosmos” dziejów historycznych i osobistych uczestników ostatniego pięćdziesięciolecia w Polsce i nie tylko w Polsce — jest właśnie takim pozornie beznamiętnym spojrzeniem w siebie, uzewnętrzniającym się w zdawaloby się czysto towarzyskiej rozmowie z sobą samym i partnerem. Jest to ciekawy eksperyment literacki — cała nowela pisana jest jako dialog. Jest to rozmowa dzisiaj dawnych przyjaciół i kochanków, których wydarzenia historyczne i polityczne złączyły i rozdzieliły. Historia jakich wiele. Brandys potrafił jednak w tej

Tamara Karren

pozornie banalnej biografii dwojga starszających się ludzi sięgnąć w głąb pobudek i motywacji. Dlaczego gość z Polski, były akowiec, więzień okresu stalinowskiego, uratowany przez adwokatkę, z którą miał romans, jest dziś zrezygnowanym, pozbawionym wielkiej pasji życiowej, (godzącym się, że celem życia jest przetrwanie) bankrutem? Mówi: „walczyłem, siedziałem, a w końcu nauczyłem się żyć bez wolności”. Jego partnerka adwokatka Iza, od czasu krótkiej „odwilży” w r. 1956 na emigracji w Paryżu, nie zrzuciła z siebie odpowiedzialności za przeszłość, w której można by jej zarzucić współpracę — w najlepszych intencjach, ratując tym wielu więźniów — z stalinowskimi władzami w Polsce. Zadręcza się wyrzutami sumienia, na zmianę z poczuciem, że zrobiła jednocześnie wiele dobrego. Jej nie wystarczy świadomość, że wynikiem jej życia jest to tylko, że żyje, tzn. oszukała los i historię. Treści tych rozmów — a za tym treści sztuki, nie będę streszczała. Zrobili to — po wiele razy — inni.

Nie mniej interesującym od eksperymentu Brandysa — dającego tak złożone studium psychologiczne z politycznym podłożem, które ustępuje jednak sprawom ludzkim, w którym człowiek i jego motywacja ważniejsze są od tła histo-

rycznego — jest eksperymentem teatralnym. Andrzej Łapicki i Anna Seniuk otrzymali do ręki opowiadanie Brandysa bez żadnych wskazówek autora i Łapicki wyreżyserował je „jak leci”, bez żadnych zmian, czy uzupełnień — i powstał z tego kawałek dobrego teatru, bez śladu „teatralności”.

Ta rozmowa ludzi zmęczonych, mówiących rzeczy pozornie bez znaczenia, broniących się przed odkryciem swego wnętrza, uciekających w banał, a nawet robiących czasem wrażenie, że się wzajemnie nie słyszą — pulsuje jednak dramatem. Czasami odnosi się wrażenie, że nie słyszą się wzajemnie, że każdy z nich mówi o czymś innym. To, że uczestniczymy w ich życiu wewnętrznym poznajemy ich dobrze i czujemy ich aromat — poprzez tę pozornie towarzyską rozmowę — zawdzięczamy przede wszystkim grze aktorów. Łapicki, mistrz dwuosobowych sztuk o inteligentnym dialogu — obdarzył nas postacią żywą, myślącą i czującą. Anna Seniuk, jedna z najwrażliwszych aktorek jakie znam w dzisiejszym teatrze i taką opinią ciesząca się ogólnie — w tej szarej pani o pięknie siwych włosach (nie jej własnych, oczywiście) pokazała niezwykle subtelną sylwetkę kobiety, która z nadmiaru przeżyć ucieka w samotność i milczenie. Jak trudno jej było mówić (nie ze względu na chore gardło) odsonić prawdę jej stosunku do gościa z Polski, prawdę dlaczego wyjechała z Polski. Wyrzeczony twarz, po której płynęły cienie zmieniających się emocji, zażenowania, lęku, beznadziejności — wypowiedziała cały dramat człowieka, który nie umie oderwać się od przeszłości i od popełnionych błędów, choć tak przed nimi ucieka. Najwymowniejsze w jej grze (jak i Łapickiego) były chwile milczenia. Nie trzeba podkreślać, że Łapicki wniósł do interpretacji gościa — całą swoją kulturę, szlachetne warunki zewnętrzne i inteligentnie stosowaną ironię.

Widz zafascynowany dialogiem i rozszerzającym się horyzontem wewnętrznych sylwetek bohaterów — czekał na koniec. „Happy end?” Nowe życie w ucieczce od przeszłości? Nie! Nieoczekiwany i genialny pomysł. Autor i reżyser kładą bohaterów do tego samego łóżka. Na szczęście autor nie kazał im przeżyć nocy miłosnej. Kazał im zasnąć zmęczonym, niczego już nie oczekującym. Takie jest życie.

Urody przedstawieniu dodała bardzo interesująca scenografia Łucji Kossakowskiej i przedziwne, pięknie tkane panele przypominające stroje średniowiecznych rycerzy. Urszuli Świącickiej, która zaprosiła aktorów z „Sztuką konwersacji” — zawdzięczamy, nie po raz pierwszy, możliwość obejrzenia tego niecodziennie oryginalnego i inteligentnego widowiska.